

Ku sercu nocy

[oneshot][AU]

Wędrowałem wśród drzew, a każda chwila ciągnęła się nieubłaganie. Musiałem jednak czekać, aż to palące słońce zniknie za horyzontem. Wciąż pamięci to uczucie, gdy jedna z moich kończyn dosłownie wyparowała w chwilę po tym, jak wystawiłem ją z kryjącego mnie cienia. I choć wróciła na swoje miejsce, gdy tylko na powrót znalazłem się w mroku lasu, to z całą pewnością nie było to coś, co chciałbym powtarzać.

W końcu jednak doczekałem się tej upragnionej chwili, w której słońce skryło się za pobliskimi wzgórzami, a niedługo po tym swoje miejsce na ciemniejącym niebie zajął księżyc wraz ze swym orszakiem pojawiających się jedna po drugiej gwiazd.

Nie będąc, już w żaden sposób ograniczony w końcu wyszedłem, na otwartą przestrzeń unosząc wzrok.

Tak. Księżyc w pełni od zawsze był najwspanialszym widokiem, jakim dane mi było widzieć. Jedynie on sprawiał, że siły na nowo wypełniły moje ciało, a im dłużej gościł na niebie, tym większą radość i energię we mnie gościła. Miałem wręcz wrażenie jakbym stawał się jednością z ciemnością, która królowała nad tym miejscem.

Nie miałem jednak czasu, by móc popaść w ten błogi stan. Musiałem ją odnaleźć. Tą, która mnie zostawiła, choć mieliśmy być ze sobą na zawsze.

Pchany tą jedną potrzebą ruszyłem przed siebie galopem. Pędziłem, przed siebie czując, jak grzywa powiewa za mną niczym, na wietrze zlewając się niemal z rozgwieżdżonym niebem, podczas gdy kopyta uderzały o trawiaste zbocze. Nic jednak nie mąciło nocnej ciszy. Ciszy, równie aksamitnej, jak sierść tej, która mnie porzuciła.

Nim się obejrzałem, trafiłem na ulice niewielkiego miasteczka. Dalej jednak gnałem przed siebie, mijając kolejne budynki. I choć starałem się nie zwracać to i tak ze wszystkich stron zaczęły mnie zalewać kaskady najróżniejszych marzeń i wizji. Mimo to nie zamierzałem się zatrzymać, gdyż nie miałoby to najmniejszego sensu. Jej tutaj bowiem zwyczajnie nie było, a przecież tylko powrót do niej tak naprawdę się teraz liczył.

Opuściwszy miasteczko najszybciej, jak to było możliwe, zacząłem wspinać się kolejne wzniesienie. I choć gnałem najszybciej, jak tylko mogłem, to przysiągłbym, że od momentu opuszczenia mojego leśnego schronienia minęła cała wieczność. Kiedy jednak osiągnąłem szczyt, wiedziałem, że każda chwila była niczym w porównaniu do tego momentu.

W końcu ją dostrzegłem! Tą najpiękniejszą ze wszystkich senną wizję. I choć stąd wydawała się ledwie iskierką, tak jak każda z gwiazd świecących nade mną, to nie pomyliłbym jej z niczym innym. Dla mnie bowiem zawsze będzie ona świecić jaśniej niż wszystkie one razem wzięte.

Pełen euforii postanowiłem, nie zwlekając, już ani chwili dłużej ruszyłem w stronę wznoszącego się na zboczu góry miastu.

Tym razem nikomu nie pozwolę nas rozdzielić. Obiecuję ci to Luno. Ty i ja już na zawsze razem.